



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 3 marek.

Harriet Beecher-Stowe.

(Wspomnienie pośmiertne).

Wszystkie ciała razem związane i wszystkie umysły razem wzięte i wszystkie ich płody nie warte są jednego czynu miłosierdzia.

Paskal.

„Są książki, które w życiu naszym zajmują równe miejsce z rodzicami, drogiemi osobami i bolesnemi doświadczeniami, tak są błogie, tak potężne, tak porywające, — słowa te wypowiedziane przez amerykańskiego myśliciela Ralpha Waldowa Emersona zastosować się dadzą do pomnikowego dzieła jego rodaczki, zmarłej 1-go lipca b. r. w 85 roku życia, Harriet Beecher—Stowe. „Chata wuja Tomasza“ koła i wzmacniała zarazem, budząc w sercu litość najgłębszą i utrzymując umysł w ciągłym natchnieniu, i dała wreszcie pobudkę do olbrzymiego przewrotu, który na istocie Stanów Zjednoczonych wycisnął całkiem odrębne piętno. Historycy literatury widzą wprawdzie i nie bez słuszności w powieści tej pewne błędy, zarzucają mu brak jednolitości w akcji i miejscami zbyt wielką rozwlekłość, zarzucają też jednak nieczem są w porównaniu z tem olbrzymim wrażeniem ogólnem, z jakim dzieło to przez cały świat, cywilizowany przyjętem zostało, wywołując w nim litość dla smutnej doli biednych niewolników i gorącą chęć skruszenia tych kajdanów. Zadziwiające, nigdy przedtem ani potem niebywałe zjawisko: skromna żona nauczyciela, nie żadna ani sławy, ani złota, a tylko pod wpływem jakiejś wewnętrznej potrzeby, która jej nakazuje pisać to, co serce odczuwa, przyodziewa wrażenia swoje w szaty powieści, podobna do fali morska, z wzrastającą

potęgą wszystkie umysły za sobą porywa i pędzi do czynu.

Wreszcie runęło to bożyszcze samolubstwa i przesądu, a upadek ten był najpiękniejszym uwieczeniem szlachetnych jej dążeń. Wprawdzie już i przed nią znaleźli się tacy, którzy ostro występowali w mowie i w piśmie przeciw ohydzie niewolnictwa, i niejednym okrutnym męczeństwem przypłacił swą missyę, całej tej akcji brak jednak było jednolitości, brak tego ognia świętego, płonącego zawsze na ołtarzu szlachetnej sprawy i dopiero powieść stała się tą różdżką czarodziejską, która umysły ludzkie zapalała do czynu więcej, aniżeli wszystkie mowy i rozprawy. I gdy wreszcie przybrały charakter wojny domowej, tysiące młodych ludzi przejętych ideą autorki stawali w szerebach, by krew swą przelać w imię świętego hasła. Tak więc skromna kobieta stała się heroldem w świętej walce i słusznie też stawiają ją obok Wilberforce'a, który na 50 lat przedtem wywalczył zniesienie niewolnictwa w koloniach angielskich.

Harriet Beecher pochodziła z prezbiteryańskiej pastorskiej rodziny. Ojciec jej Dr. Lyman Beecher był znanym kaznodzieją w Lichtfield w stanie Connecticut i tu Harriet 14 czerwca 1872 r. ujrzała światło dzienne. Bóg błogosławił potomstwu, od wczesnej więc już młodości musiała myśleć o sobie. Poświęciła się zawodowi szkolnemu i w piętnastym roku życia była już pomocnicą nauczycielki w zostającym pod kierownictwem starszej jej siostry, Katarzyny, seminarium.

Katarzyna miała również żyłkę literacką; znana jest jako autorka wielu pism pedagogicznej treści. D-r Beecher powołany został w r. 1892 na kierownika seminarium teologicznego w Cincinnati, dokąd mu towarzyszyły obie siostry; Katarzyna założyła tu gimnazjum dla dziewcząt, przy którym Harriet pełniła również obowiązki pomocnicy. Wolny od zajęć szkolnych czas poświęcała dalszym studjom, w krótkim czasie wyuczyła się języka łacińskiego do tego stopnia, że mogła „Metamorfozy“

Owidyusza przełożyć na rodzinny swój język. Pierwszą jej pracą literacką była nowelka, odznaczona nagrodą 50 dolarów na konkursie rozpisany przez pewien miesięcznik amerykański. Autorka miała wówczas 21 lat. W r. 1836 zawarła związek małżeński z profesorem teologii Kalwinem E. Stowe i w tym już roku powstała w niej myśl napisania owej powieści, która jej przyniosła sławę wiekopomną. W Cincinnati wybuchały w owym czasie rozruchy na gruncie kwestyi niewolniczej; Harriet opisała wypadki te i wrażenia mężowi swemu, udającemu się w podróż do Europy. Ogłosiła również drukiem szereg nowel i rozpraw, w których dała się poznać jako gorliwa orędowniczka biednych murzynów, czyniła to jednak bardzo ostrożnie; w stanie Ohio bowiem, aczkolwiek nie obowiązywały w nim przepisy o niewolnikach, nie zbyt było bezpiecznie występować otwarcie w roli „abolicyonisty.“ Profesor Stowe wraz z małżonką przychodził nieraz z pomocą zbiegłym niewolnikom, działało się to jednak w tajemnicy. Zbiór swoich nowel i szkiców wydała Harriet w r. 1843 p. t. „The May Flower,“ od nazwy owego okrętu, który przywiózł pierwszych purytańskich emigrantów do Ameryki.

Wskutek chorób panujących w rodzinie, które przypisywano niezdrowemu klimatowi i wskutek rozmaitych innych przykrości, przeniósł się profesor Stowe w r. 1850 do Brunswiku w stanie Maine, gdzie przyjął obowiązek nauczyciela w kolegium „Bowdoin,“ i tu dojrzały myśli, które Harriet już dawno w sercu swem żywiła. Coraz bardziej wzrastało powszechne oburzenie przeciw istniejącemu prawu, które nakazywało wydawanie zbiegłych niewolników, a ukrywanie ich karało więzieniem i konfiskatą majątku. Wiele rodzin, które powodowane litością, dopuściły się tej „zbrodni,“ popadło w nędzę, a srogie przesładowania tych, którzy dla uwolnienia niewolnika pracowali, nieustawały. „Gdyby moje pióro było tak wymowne, jak twoje,“ pisała mistress Edward Beecher do

swej bratowej Harriet, „wtedybym napisała coś, z czego by się cały naród przekonał, jak ohydny jest niewolnictwo.“

Słowa te znalazły żywy odgłos w sercu Harriet, „Tak jest, napiszę coś!“ zawołała i po krótkim namyśle przystąpiła do pracy. Ostatecznie natchnienie otrzymała pewnego wieczora w kościele w Brunswicku. Wzruszający obraz śmierci wuja Toma, który już dawniej zrodził się w jej duszy, przybrał nagle uchwytnie kształty. Powróciwszy do domu, przelała na papier wrażenia duszy, i przeczytała je w kółku rodzinnym, do łez wzruszając słuchaczy.

W dniu 5 czerwca 1851 rozpoczął się w wychodzącym w Waszyngtonie piśmie „National Era“ druk „Chata wuja Tomasza,“ — nie tej jednak powieści, którą wszyscy znamy, lecz głównych do niej zarysów. Pierwotnie powieść ta skończyć się miała w ciągu trzech miesięcy, stopniowo jednak rosła coraz bardziej pod piórem autorki, zachęcanej licznymi pismami i odezwaniami, tak że skończyła się dopiero w kwietniu 1852 r. Powodzenie moralne było olbrzymie, materialne średnie: 300 zaledwie dolarów za całe dzieło. Autorka była przytem tak bojaźliwą, że odrzuciła propozycję pewnego nakładcy w Bostonie wydania do wspólki powieści w osobnej odbitej; na tego rodzaju ryzykowne przedsięwzięcie była, jak sama mówiła, za ubogą.

Skończyło się więc na innym układzie, w myśl którego otrzymywała 10% od czystego dochodu. Zanim książka wyszła w druku, wyłoniło się pytanie, czy Kanada będzie mogła stanowić na przyszłość bezpieczne schronienie dla zbiegłych niewolników, czy też kolonia ta angielska, z obawy możliwych z tego powodu zawikłań z Unią, nie zechce zamknąć swych granic dla zbiegów i wystawić ich na zemstę prześladowców. Dzięki pośrednictwu Harriet, która wysłała do księcia Alberta, mężów stanu, poetów i myślicieli angielskich błagalne listy, dołączając do nich wyciągi z swej powieści, rzeczy pomyślną przybrały postać. Wszyscy, do których się zwróciła, przyrzekli jej poparcie, prasa londyńska zajęła się gorliwie całą sprawą tak że powieść znalazła tu równie gorące przyjęcie jak w Ameryce u wrogów niewolnictwa. W Stanach Zjednoczonych rozeszło się zaraz w pierwszym roku 300,000 egzemplarzy tej powieści, pojawiły się przekłady na wszystkie języki europejskie, a nawet przeróbki na scenę. Nie brakło w każdym razie zaczepki i napaści, posądzających ją o przesadę, a nawet wprost o kłamstwo, wszystkie te jednak zarzuty zbiła autorka w „Kluczu do chaty wuja Tomasza,“ którym powołując się na skonstatowane fakty i autentyczne dokumenta udowodniła prawdę swego opowiadania; tu należy np. opowiadanie o ucieczce Elizy, która z dzieckiem na ręku umrzeć raczej była gotowa, aniżeli wpaść w ręce prześladowców i psów ich żarłocznych. Postać dzielnego i pobożnego wuja Tomasza nie jest również wytworem wyobraźni poetki; murzyn niewolnik Iosiah Hanson służył jej jako model. Nie zginął on jednak w rzeczywistości śmiercią męczeńską, lecz uzyskawszy wolność został duchownym wśród braci swoich i umarł w r. 1881 w Dreźnie, w stanie Ontario. Że nie na kim innym, a tylko na nim autorka wzorowała postać wuja Tomasza, dowodzi tego fakt, że napisała przedmowę do jego autobiografii.

Georges Sand taki sąd wydała o pani Beecher-Stowe: „Wszystko u niej jest instynktem. Niejednemu może się zdawać że jej brak talentu... Ale posiada geniusz! Tak jest posiada geniusz najpotrzebniejszy dla naszej ludzkości. Taki geniusz — nie należy do piszącego, lecz jest udziałem świętych.“

Skoro w rok później *Chata Wuja Tomasza* w milionach egzemplarzy rozeszła się po świecie, — a tłumaczona na dwadzieścia języków, do głębi poruszyła serca ludzkie, pani Beecher-Stowe z uśmiechem pełnym zdziwienia zawołała:

„Sądziacie — że ja jestem autorką tej książki? — Nie, z pewnością nie!“

Prawdą jest, że ona była tłumaczem uczuć całego narodu — inni mówią, że to był głos Boży.

Lecz, żeby być tłumaczem, w uroczystej chwili swego życia, uczucia całego narodu, trzeba go samemu w wysokim stopniu doświadczyć. Dopełniła tego, bo była zdolną do miłości i cierpienia. Od da-

wna już bat panów zawisł nad niewolnikami, a łzy matek padały na jej serce.

Od chwili zaś, kiedy klęcząc nad próżną kołyską swego pierworodnego, przedstawiała sobie co iuszą cierpieć biedne matki którym zabrano wszystkie ich dzieci, zrozumiała, że nie sama jedna cierpi. Młodziczką będąc wołała: „Niebo, to świat miłości. Miłość to treść życia ludzkiego, to pierwiastek ducha — wszystko.“

Tę miłość spotykamy u pani *Beecher-Stowe* w stopniu doskonałym. Broniąc gorliwie sprawy niewolników, przypomina swym ziomkom, że panowie również są naszymi braćmi. Jest to kobieta, która pisze „krwią swego serca.“ Jako dziecko północy, z upokorzeniem znosi ciężar bezprawia popełnianego na Południu. Skoro wybuchnie wojna domowa, uważa za rzecz zupełnie naturalną poświęcić za odpokutowanie tych zbrodni krew przyjaciela, a nawet krew syna. W imię tej solidarności, czoło jej się podnosi i przypomina wszystkim narodom, mianowicie Anglii, której ciągle wzywała pomocy, że sprawa Amerykańska jest zarazem ich sprawą, i że usiłowania nieprzyjaciół niewolnictwa powinno być ich wspólnem usiłowaniem.

„A wy, moje siostry, pisze w tonie pokornym i zarazem dumnym do kobiet Wielkiej Brytanii i Irlandyi — cożecie dla nas zrobili i co myślicie jeszcze uczynić?“

Sam ten tytuł *Chata Wuja Tomasza* jest ironicznym, bo wuj Tomasz nie posiada chaty od czasu jak egoizm pana oderwał go od jego patryarchalnego szczęścia, od jego naiwnych uczuć, od Chloe, od jego dzieci murzyńskich! W jego kraju podług energicznego wyrażenia Georges Harrisa „prawo pozwala zabrać dziecko z łona matki, zabrać ojca dziecku, aby spłacić długi pana...“

Podróż do Europy, którą Harriet wraz z mężem swoim i bratem Karolem odbyła w r. 1853, stanowiła jeden wielki pochód tryumfalny. Gdziekolwiek się ukazała, wszędzie naród witał ją z entuzjazmem, a liczne delegacje składały hołd jej zasługom. Robotnicy angielscy ofiarowali jej na srebrnej tacy tysiąc dukatów, zebranych ze składek po jednym penny; w Londynie lord Shaftesbury wręczył jej adres od kobiet angielskich, a księżna Sutherland zaszczyciła ją bransoletą w formie kajdanów z napisem: „Na pamiątkę więźów, które, mamy nadzieję, wkrótce zerwane zostaną.“ Podczas drugiej podróży w r. 1856 spotkało ją bardzo życzliwe przyjęcie u królowej Wiktorji; spotkanie nastąpiło ze względów politycznych na jednej ze szkockich stacji kolejowych.

Trzecią podróż do Europy podjęła Harriet w lecie 1859 r.

W powieści swojej „Dred,“ zatytułowanej później „Nina Gordon,“ wystąpiła znowu jako gorliwa orędowniczka niewolników, powodzenie jej nie dorównało jednak temu, z jakim przyjęto pierwszą powieść. Teraz nadszedł bowiem już czas czynów. Po Jamesie Buchanan, wielkim przyjacielu niewolników, zasiadł na krześle prezydenta Stanów Zjednoczonych w r. 1860 Abraham Lincoln. Wybór jego wywołał nowe zaburzenia i nową wojnę domową. Do rzędu pierwszych ochotników, którzy wystąpili na pole walki, należał syn Harriety; w bitwie pod Gettysburg w d. 2-go i 3-go lipca 1862 r., która zakończyła się ostatecznym zwycięstwem Północnych Stanów, otrzymał ciężką ranę.

W r. 1868 opadły ostatecznie pięta, krepujące niewolników, a Harriet ujrzała najgorętsze swe pragnienia urzeczywistnione. Nie zapomniała ona i nadal o obdarowanych wolnością murzynach, wybierała jednak do swoich dzieł inne tematy.

W r. 1866 przenosi się z mężem do Florydy i ztąd co roku niemal wychodzi z pod jej pióra nowe dzieło, czy to w formie romansu, czy opowiadania historycznego, czy też rozpraw z dziedziny społecznej; dzieła te jednak nie przyniosły jej już więcej rozgłosu. Raz jeszcze nazwisko Harriet przypomniło się światu, nie z pochlebnej jednak strony. W r. 1869 ogłosiła w piśmie „Athletic Monthly“ rozprawę p. t. „Życie lady Byron w świetle prawdy,“ w której sławnej owej kobiecie angielskiej czyniła bezpodstawne zarzuty. Dzieło to wywołało we wszystkich krajach ogromne wzburzenie, którego nawet przez wydanie nowego p. t. „Obrona lady Byron“ uspokoić nie była w stanie. I dopiero czas puścił błąd ten jej w niepamięć. W ojczy-

źnie jej dzieła te niewiele jej zaszkodziły. Odczyty które miała w latach 1872 i 73 w większych miastach Stanów Zjednoczonych cieszyły się olbrzymią liczbą słuchaczy a i dzieła jej doznawały i nadal życzliwego przyjęcia u publiczności amerykańskiej. W r. 1882 miasto Boston obchodziło 70-letnią rocznicę jej urodzin wspaniałą uroczystością, w której wzięli udział najznakomitsi amerykańscy poeci i pisarze.

Ta uroczystość zakończyła chlubną jej działalność literacką. Nie pisała już więcej i tylko czasem zabierała głos w takiej sprawie, która ją zajmowała. Ale i to ustało z chwilą, kiedy w r. 1886 straciła męża. Resztę żywota spędziła albo w posiadłości swej we Florydzie albo u syna swego, pastora w Hartford. Tu też zamknęła powieki.

Utworów Harriet Beecher-Stowe nie możemy mierzyć skalą poetycką. Nie, nie należała ona bowiem do rzędu poetów, którzy głową trącają o gwiazdy, większość jej dzieł nie rozeszła się poza granice własnej ojczyzny, wiele z nich jeszcze za życia autorki utonęło w mgłę zapomnienia, to jedno jednak: „Chata wuja Tomasz,“ pozostanie nieśmiertelnem. Nie sposób napisać historii Stanów Zjednoczonych, bez powoływania się na tę powieść, która dzieje niewolnictwa z tak wzruszającą oddaje prawdą; w literaturze świata zachowa ona na wieki należne jej miejsce. Tyle milionów egzemplarzy rozeszło się już po świecie, a mimo to ciągle powstają nowe; jedno z nich, wspaniale ilustrowane ukazać się ma wkrótce w Stutgardzie.

I w czemże tkwi ten niebywały powab, jaki powieść ta od lat 40 na czytelników wszelkiego stanu i wieku wywiera? Oto w tej idealnej prostocie, w tej nieustraszonej uczciwości, bez cienia jadu, goryczy i fanatyzmu, z jaką autorka broni uczciwej sprawy. Powie ktoś, że niewolnicy amerykańscy nie zasłużyli na swobodę, jaką ich obdarowano, że uwolnienie ich było błędem politycznym, i że należało raczej przeprowadzić zmianę tę zwolna. Gdybyż i tak było, to było zadaniem mężów stanu a nie poety to przewidzieć. Harriet Beecher-Stowe spełniła swoje zadanie, ukazując światu w całej nagości tę o pomstę do nieba wołającą ohydę wieku, i uczyniła to bez gniewu i nienawiści, powodowana uczuciem prawdziwej chrześcijańskiej pobożności. „Prawda dźwiga miecz, ukuty przez sprawiedliwość“ mówi Fichte, i ma tu na myśli miecz ducha, który się okazał zawsze silniejszym od grubiańskiej przemocy. Ten miecz prawdy i sprawiedliwości wiodł Harriet Beecher-Stowe do pewnego zwycięstwa.

Ad. D.

Promyk szczęścia.

URYWEK Z ŻYCIA,

skreślił

JAN KENAJ.

(Dalszy ciąg)

— Ah panie! żeby pan był łaskaw zasunąć firankę na okno — tak gorąco — przerwała milczenie matka Janki, a Marzejski spełniając skwapliwie jej prośbę, uczuł, że wszystko jest lepszym od ciągłego milczenia. Przytem ruch i te kilka słów pociągnęły za sobą inne — zaczęła się rozmowa — leniwa i ciągle przerywana, ale było to zawsze jakieś oderwanie myśli od jednego przygnębiającego przedmiotu.

Z rozmowy tej, która obracała się koło stosunków warszawskich, Marzejski dowiedział się, że one nazwijają się Wolskie, że mieszkają w Warszawie dopiero od kilku lat, że Janka dawno już straciła ojca — który umarł zagranicą... — I tu znów urwała się rozmowa i trudno już ją było nawiązać nanowo — rwała się ustawicznie, bo nie można było natrafic

wołania zaczął służyć i wysadziwszy język patrzył na nich, jakby się chcąc spytać, czy dobrze zgadł. Był tak komiczny w swoim zakłopotaniu, że wszyscy wybuchnęli śmiechem. Janka mu dała cukru i wręczcie pogodzeni narzeczeni mieli wyruszyć w góry.

Kuzynek Staś uznał, że zaczyna być tu zbyt cynam, więc pożegnał się, robiąc dramatyczną minę

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYZKIE.

Paryż, d. 6 Września.

Podróż prezydenta Rzeczypospolitej do Bretanii można nazwać nader szczęśliwym faktem jaki od dawna się nie przytrafił.

Ludność Bretanii do tej pory, posądzaną była o brak przychylności dla Rzeczypospolitej tymczasem owacyjnie i przyjazne przyjęcie prezydenta, zadało kłam tym mniemaniom. Bo jakkolwiek w niektórych miejscowościach ograniczono się na chłodno grzecznym przyjęciu dostojnego gościa, to jednak te małe chmurki, niknęły na horyzoncie ogólnej sympatii i przychylności usposobienia większej części bretończyków.

Naturalnie że w centrum rzemieślniczym i przemysłowym, prezydent jak zwykle doznał najwięcej gorącego przyjęcia. Malownicze miasteczka Fougères i Laval urządziły szczególnie owacyjne przyjęcie prezydentowi, który też podziękował za to gorącym przemówieniem.

Pobyt Li-Hung-Czanga, trzymał przez pewien czas w naprężonej ciekawości paryżan. I nie dziwnego, bo ten gość z dalekich stron, kosztował Francją do 100,000 fr. tak był świetnie przyjmowany.

Obecnie, a szczególnie przez sierpień jest to chwila w której prezydent i ministrowie podróżują po całej Francji, wygłaszają mowy lub asystują różnym uroczystym obchodom prowincjonalnym, nazywając to wypoczynkiem.

W oczekiwaniu dostojnych Gości z Rosji, czynią się tutaj nadzwyczaj wspaniałe przygotowania, gdyż chciano by, aby Najjaśniejsza Para, uniosła niezatarte wspomnienia ze swego pobytu w stolicy Francji. Szczególniej wspaniałemi mają być bal w pałacu elizejskim, galowe przedstawienie w operze, oraz wielka zabawa w Ratuszu.

Oby tylko pogoda sprzyjała tym wszystkim uroczystym przyjęciom, gdyż cały sierpień były ciągle burze i deszcze w całej Francji, a wrzesień także coś nie lepiej z nami poczyna. Huragan onegdajszy w Hawrze poczynił przerażające spustoszenia.

W początkach sierpnia otworzono tutaj ciekawą wystawę, teatralną i muzyczną. Przyjęto ją bardzo owacyjnie i do tej pory nie przestano się nią szeroko zajmować. Tak prasa jak i publiczność obdarza ją do tej pory swemi względami.

Również wielkie zainteresowanie wzbudziło tu otwarcie damskiego klubu, pod nazwą *Association féminine*. Do dziś klub posiada już 250 uczestniczek, co stanowi wcale poważną cyfrę. Klub mieści się pod 14 numerem przy ulicy Dupré i zawiera kilka wielkich pokoi zamienionych na restaurację, czytelnię, salę wystaw i salę koncertową, wcale pokładnie i wygodnie urządzonej.

Niedawno temu niezwykle widowisko sprowadziło setki paryżan na dziedziniec pałacu Inwalidów.

Oto stary siwowłosa malarz Balze, kierował rozwinięciem i poprawką olbrzymich płócien przedstawiających kopie słynnych fresków Rafała z Watykanu, a to dla rozwieszenia ich w pałacu Inwalidów. Freski te zamówione przed sześćdziesięciu laty u sławnego malarza Ingres'a, pozostającego w Krymie w charakterze dyrektora szkoły francuskiej, zostały wykonane pod jego okiem przez dwóch utalentowanych jego uczniów, braci Balze.

Po dziesięciu latach pracy ukończone freski zo-

stały przywiezione do Paryża i wystawione w Pantheonie.

Wypadki polityczne oraz różne inne okoliczności sprawiły, iż następnie złożono je na skład, do szkoły sztuk pięknych, i dopiero po tak długim przeciągu czasu jeden z żyjących jeszcze braci Balze wystarał się o ich odnalezienie i właściwe dla nich pomieszczenie w Pałacu Inwalidów. To też rzeczywiście wzruszającym był widok blisko osiemdziesięcioletniego starca, jak z młodzieńczym zapałem i głębokim wzruszeniem dotykał się tych starych płócien, wiążących artystę dawno ubiegłymi wspomnieniami.

Pełne także wspomnień historycznych, pamiątkowy pałac i park w Malmaison dostały nowego właściciela.

W drodze licytacji sprzedał je rząd bogatemu przemysłowcowi panu Osiris, który zamierza park uporządkować, pałac odnowić urządzić w nim muzeum i oddać jedno i drugie na własność Francji.

W Malmaison długo mieszkała i umarła cesarzowa Józefina, żona wielkiego Napoleona.

Z tego powodu *Gaulois* zamieścił opis ciekawego historycznego faktu, zaszłego na kilka dni przed śmiercią Józefiny.

Bardzo już chorą cesarzową, przyjechał odwiedzić bawiący podówczas w Paryżu, cesarz Aleksander 1-szy i król Pruski. Doktor nakazał dostojnej pacjentce zachować zupełny spokój i pozostać w łóżku. Cesarzowa dowiedziawszy się o przybyciu dwóch władców, pomimo swej niemocy rozkazała się ubrać i przez kilka godzin acz z trudem pełniła obowiązki gospodyni, czyniąc honory domu i asystując przy obiedzie. Taki wysiłek pogorszył znacznie stan chorej i kiedy nazajutrz cesarz Aleksander zaniepokojony alarmującymi wieściami o stanie zdrowia Józefiny, udał się osobiście w odwiedzin do Malmaison został Józefiną umierającą. Na widok cesarza chora się ożywiła nastąpiło jakoby polepszenie rozmawiała z cesarzem Aleksandrem i przy nim błogosławiła kłęczących u jej łóżka królową Hortensję i ks. Eugeniusza; a w kilka godzin po odejździe cesarza umarła.

Te smutne wspomnienia przywodzą mi na pamięć, iż kronika pośmiertna zapisała w tych czasach na swych kartkach, kilka znanych imion we Francji. Pierwszem z nich jest imię Eugeniusza Spullera byłego senatora, ministra, dziennikarza, przyjaciela i doradcy Gambety. Został on pochowany na cmentarzu Père-Lachaise, a pogrzeb odbył się wspaniale. Oddano mu honory jako dygnitarzowi legii honorowej, oraz wygłoszono cały szereg mów. Jako człowiek odznaczał się Spuller, skromnością i prostotą. Od dwudziestu lat zamieszkiwał nie wielki apartament na piątym piętrze pod Nr. 2 przy ulicy Favart. Żył w cichości w otoczeniu kilku przyjaciół, bez bliższej rodziny, gdyż pozostał bezżennym. Dla poratowania zdrowia, tego roku z wiosną wyjechał w swoje rodzinne strony, do departamentu Côte, d'Or i tu go śmierć zaskoczyła.

Umarł też znakomity matematyk, Henryk Resal, członek akademii nauk ścisłych. Dalej doskonały lekarz i sławny oryginał, doktor Déprés, nadzwyczaj popularny przez swoje nieustające polemiki po dziennikach. Walczył on w swoim czasie zjadale przeciwko izolacji szpitali paryżkich, oraz był zapalonym przeciwnikiem wszelkiej antyseptyki; co tem było dziwniejsze, że doktor Déprés był specjalistą chirurgiem. Całe życie trzymał się on jednak starej metody.

Ubyły też w przeciągu miesiąca, dwie niezmiernie niegdyś znane, popularne i lubiane postacie, bracia Hipolit i Anatol Lionnel. Byli to znani bardzo śpiewacy popularnych piosenek. Jeden z nich był z zawodu drukarzem, drugi litografem. Obdarzeni pięknymi głosami, rychło zdobyli wielką sławę i pieniądze. Przez cały szereg lat byli oni ulubieńcami publiczności i zapraszano ich do najpierwszych salonów stolicy. Szczególną opieką otaczała ich ks. Metternichowa. Jako bliźniaki odznaczali się niezmiernem podobieństwem i wielkiem zobopólnym przywiązaniem. Żyjąc na szerokim świecie, obcując z wieloma sławnymi osobistościami, mieli obaj bracia wiele zajmujących wspomnień, które zebrali w jedną książkę. Są to rozmaite

aneddotki i historyjki, nader barwne i zajmujące. Najciekawsze z nich odnoszą się epoki drugiego cesarstwa, kiedy ulubionych pieśniarzy zapraszano na wieczory do Tuileries. Napoleon i Eugenja, oboje nie byli zwolennikami wielkiej muzyki, za to chętnie słuchali wesołych francuzkich piosenek. To też bracia Lionnel poświęcili nie jedną kartę tak miłym i zaszczytnym wspomnieniom. Z chwilą upadku cesarstwa zaczęły się ciężkie chwile dla śpiewaków.

Powoli wschodziły na horyzont paryżki nowe gwiazdy, bracia Lionnel szli w zapomnienie a z niem popadli niedledwie w nędzę. Od wielu lat nie występując, wyczerpali swoje zasłki pieniężne i przez długi czas żyli w wielkim niedostatku. Kilka lat temu za pomocą prasy zwrócono na ich położenie uwagę publiczną, popłynęły zapomogi, i dzięki temu, niegdyś ulubieńcy fortuny mogli spędzić resztę życia w jakim takim spokoju.

Nareszcie po długich oczekiwaniach mamy ujrzyć niezadługo pomnik wnstawiony Honorjuszowi Balzacowi. Pracuje nad niem od lat kilku artysta rzeźbiarz Radin i chyba po takiej długiej pracy pokaże nam rzecz ze wszech miar dojrzalą. Ma on przedstawić Balzaca w stojącej pozycy, ze złożonymi na piersiach rękami.

Rzeźbiarz Puech wykończy również popiersie znakomitego poety Leconte de Lisle'a, przeznaczone dla niego na pomnik. Popiersie ma być umieszczone na piedestale z białego marmuru. Pomnik ma stanąć w ogrodzie Luksemburskim, w zacisznym kąciaku mieszczącym wielu innych poetów.

Na horyzoncie teatralnym pojawiły się dwie wielkie nowiny. Jedną z nich jest zakończenie słynnego procesu Coquelin'a starszego z Komedją Francuzką. Aby nie pozbawiać sztuki tak znakomitego artysty, minister oświaty Rambaud starał się pogodzić powaśnione strony. Coquelin zapłacił jednorazowe odszkodowanie komedji, której był członkiem i pozostanie zupełnie wolnym od wszelkich zobowiązań.

Drugą sensacyjną wiadomością jest zapowiedź przyszłego związku małżeńskiego Jana Reszke z hrabiną de Mailly-Nesle. Miłość wielkiej damy i wielkiego śpiewaka od kilku lat zajmowały paryżan. Ślub ma się odbyć w kraju, w majątku artysty.

Od kilku tygodni, prefekt policji Lépine uzbroidł swoich agentów, w duże laski na biało malowane. Służą one na to, aby za ich podniesieniem zatrzymywały się powozy, a przechodnie mogli swobodnie przejść na drugą stronę ulicy. Rzeczywiście jest to bardzo dobry i pożyteczny wynalazek, bo na ruchliwszych ulicach w środku Paryża nieraz potrzeba było wyczekiwać sposobności po kilka minut, aby znaleźć przejście na drugą stronę ulicy. Niechże więc nowo przybyli do Paryża turyści, nie przestraszą się groźnie wyglądających stróżów porządku i bezpieczeństwa publicznego.

C. H.

SIOSTRY NAPOLEONA.

II.

Paulina Borghese, Księżna Guastalla.

(1780—1825).

(Dalszy ciąg).

D. 10 lipca pisze do Frérona:

„Najdroższy, wszyscy się zmagają, aby nam szkodzić. Widzę z listu twego, iż dawni przyjaciele to niewdzięcznicy; zawodzi nas nawet żona Napoleona, w której życzliwość wierzyłeś przecież. Usiłuję przeszkodzić naszemu małżeństwu i pisze do męża, iż poślubiając ciebie, byłabym poniżona. Coś jej zawinili? Czy to możebne? Wszystko przeciw nam się zwraca! Jak bardzo jesteśmy nie-
szczęśliwi!

claiast, słowem zręcznym a dowcipnym, pokryła się purpurą i, zmieszana, zalekniona nieszczęśliwa, jakby pod brzemieniem wstydu, opuściła wkrótce salony pani Permon.

A choć uszy jej nie były gorsze od wielu innych, nosiła odtąd stale uczesanie niske, które je zupełnie zakrywało; arogancka zaś niegrzeczność pani de Contades, ten miała skutek, iż generałowa unikała później zawsze kobiet, garnąc się ku mężczyznom, którzy ją przekonywali hołdami swemi, o niezaprzeczalnej potędze urody.

Drobna owa przygoda, charakteryzująca doskonale ówczesne towarzystwo, miała większy może wpływ na przyszłość i charakter Pauliny, niżby to sądzić można. Ten najwyższy tryumf płochego jej życia, popsuty, jednym złośliwym słowem, przepoił ją goryczą i zniechęceniem, wyżyłbił pierwszy rys okrucieństwa, w naturze kobiety, lekkomyślnej, lecz dziecięco naiwnej dotąd.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kazimierz Gliński.

„PLON NIESIEM.“

Komedia w 2 aktach.

(Dalszy ciąg).

Rozalja (*do Karoliny*). Mój Boże! jak ja już dawno nie widziałam ludzi naszego towarzystwa (*siada*).

Karolina (*siadając przy niej*). Musiałaś tęsknić.

Rozalja. Trochę i to z początku tylko, dopóki wspólna moja praca z Zygmuntem pożądanego nie wydała plonu. Lecz od chwili, gdy zrozumieliśmy się dobrze, gdy stałam się starszą siostrą tego ludu, potrzebą chat—niczego już nie pragnę. Mając miłość Zygmunta i tych dusz prostych, garnących się z całym zaufaniem do mnie—coż więcej wymagać mogę? Zehłopiałam może trochę, odwykłam od salonowych frazesów, ale, czy tam u was w tym wielkim świecie, w jakim ty żyjesz, jest lepiej—nie wiem. Nie wiedząc—tęsknić nie mogę.

Karolina. Czy wiesz jednak, Rozalko, że, patrząc na ciebie, żal mi trochę jest ciebie. Byłaś zawsze śliczną, teraz prześliczną jesteś, a uroda to dar Boży, nie na to dany, by go zakopać w głuchej wsi, gdzie nikt ani ocenić, ani zachwycić się nim nie potrafi.

Leon. Szach!

Zygmunt. Nieudany.

Rozalja. Mówiono mi niegdyś, że byłam ładną...

Karolina. Dziś czarująca jesteś... Ach! wyobrażam sobie, gdybyś się zjawiała w jednym lub drugim salonie warszawskim—ile by to niespokojnych serc w piersiach mężczyzn zabiło, jak spójnym otoczono by cię wieńcem!... A Warszawa umie się bawić i bawić się dobrze!

Rozalja. Pamiętam!

Karolina. E—byłaś wtedy podlotkiem, nierozumiejącym nic, niemogącym odczuć czaru zabaw, jaki, na przykład, bal daje. Ty tutaj nie tańczysz?...
Rozalja. Na łanie czasem z wiejskimi dziewczętami poskaczę.

Karolina. Minęły dni pasterskie, w poezji tylko są takie sielanki piękne. U kogo bywacie, kto u was bywa? mówię oczywiście o towarzystwie sfer naszych.

Rozalja. Żadnych, Linko, nie mamy tutaj stosunków, wszystkie majątki są w rękach niemieckich, nie bywamy nigdzie, nie znamy nikogo.

Karolina. I jak ty wytrzymać możesz?

Rozalja. Musimy wystarczyć sami sobie.

Zygmunt. I dobro czynić.

Leon. Błęd!

Zygmunt. Chyba w szachach!

Leon (*zajęty grą*). Naturalnie!

Karolina. To bardzo jest piękne dla anachorety lub filozofa, dla człowieka zresztą, który już dosyć słodyczy z życia wyciągnął;—ale dla istoty młodej, pięknej zakochać się w takim pustkowiu—to prawdziwe poświęcenie!

Zygmunt. Czy łaskawa pani w balowej tylko sali świat widzi.

Karolina (*zwracając się*). Grajcie panowie w szachy!... (*do Rozalji*). Nie mówiłabym do ciebie tak, gdybyś tak piękną nie była—ale mi żal ciebie! Miałś lat siedemnaście, jak wyszłaś za mąż i od razu znalazłaś się sama, w tej pustelni, nie wchłonawszy piersią tego powietrza, jakim oddycha świat, nie zaznawszy woni tych kwiatów upajających, jakie daje życie. Dziś masz lat dwadzieścia pięć—to szczyt młodości, najpiękniejsza chwila, w której serce pożąda najwięcej. Później, później—gdy starość nadejdzie, nawet wspomnień nie będzie, że się chodziło w róż wieńcach, że te usta przewiedle, te oczy przygasłe rzęcały czar i wzrok czyjś przykuwały do siebie. Nie myślałaś ty o tem nigdy?

Rozalja. Nigdy, Linko!

Karolina. I czy to nie jest smutne?

Rozalja. Zapewne.

Karolina. Przejść przez życie i nie znać życia, zrywać rumianek, gdy róże kwitną, patrzeć wciąż w ziemię, gdy nad głową rozpostarte błękity. Pomyśl tylko!

Rozalja (*wpół zamyślona*). Wyteżam myśl...

Karolina. I?

Rozalja. I dziwnie mi się robi.

Leon. Szach—i dobry!

Zygmunt. Nie lękam się jeszcze—

Rozalja. Gdybym tylko chciała, mój mąż pozwoliłby mi wyjechać na czas pewien do Warszawy lub gdziekolwiekbydź... Ale wierz mi, że podobna zachcianka na myśl mi nigdy nie przychodziła. Tu mamy tyle zajęć...

Karolina. Wiem, wiem już co mi chcesz powiedzieć... Ale gdyby setki, tysiące takiej się pracy oddały, uwierzyłabym w jej skuteczność i nie namawiałabym ciebie do wyrwania się z tej pustelni; lecz jednostka nie znaczy nic—a zmarnować młodość i piękność dla—złudzeń, to niczem innym nie jest, jak prostem dziwactwem. Masz czarowne oczy i kto je tu widzi?

Zygmunt. Ja!

Karolina. Masz ręce, któreby w podziw wprowadziły Fidyasza—i kto tu ich piękność uwielbia?

Zygmunt. Ja!

Karolina. W tem podwójnem: ja pańskiem przebija się prawdziwy męzowski egoizm. Dla was wszystko!...

Zygmunt. A któżby się z nas inaczej żenił?

Karolina. Graj pan lepiej! (*do Rozalji*). Ja korzystam z młodości i bawię się na potęgę. Czas karnawałowy to jakieś jedno marzenie senne, uroczę—wir tańca mnie odurza, teczka wspomnień wciąż rośnie, (*ciszzej*) niewinne bałamućwa dodają uroku, później wyjazdy zagranicę, do wód, do kąpieli—życie wypełnia się wrażeniami i—i—jeżeli czas przyjdzie, ten brzydki czas, w którym oziębi się serce, pierś gorącym nie wionie—odżyję bogactwem pamiątek. A ty?

Rozalja. Zygmunt—by powiedział: odżyjesz wdzięcznością serc, które przygarnęłaś do siebie.

Karolina. Ale on teraz gra w szachy—coż ty powiesz?

Rozalja. Mówiłam zawsze to, co oni!

Karolina. Zbuntuj się!

Rozalja. Linko!...

Karolina (*wiodąc ją do zwierciadła*). Spójrz na siebie!

Rozalja (*patrząc z uśmiechem*). I co?

Rozalja. Perełko, nie znająca wartości własnej, tobie trzeba oprawy ze złota, światła, uśmiechów, a hołdów ci nie zbraknie. Perełko! ty zamrzesz tutaj, gdy cię podziwiać potrzeba; zamrzesz, gdy żyć możesz i słyszeć szept nieustanny: piękna! piękna! piękna!...

Rozalja (*z uśmiechem*). Piękna!...

Karolina. Twójże to świat, w którym żyjesz?

Rozalja. Nie—nie mój—

Karolina. Trzymałaś kiedy w swej dłoni puhar kryształowy, złotem winem nalany?

Rozalja. Piłam dotąd kryniczną wodę.

Karolina. Dlaczego westchnęłaś?

Rozalja. Smutno mi!...

Karolina. Bo rozbudziłam w tobie pożądania nieznanne dotąd.

Rozalja (*cicho*). Tak.

Leon. Szach—i mat!...

(*Rozalja wstrząsa się—Zygmunt i Leon wstają od szachów*).

Karolina (*podchodząc*). Skończyliście panowie?

Zygmunt. Ze smutnym dla mnie rezultatem...

(*Wchodzi Wojciech*).

Wojciech. Proszę pana, Hans Kopp chce się z panem widzieć.

Zygmunt. Czego odemnie chce ten safandula?

Wojciech. Musi ktoś go od Szwabów zwymyślać.

Zygmunt. Niech przyjdzie!... Jedyne to jeszcze chłop Niemiec w mojej wsi, który ubolewa nad szwabskim bankructwem.

Wojciech. Verfluchter!...

(*Wychodzi*).

Karolina (*do Rozalji*). I to inuych odwiedzin nie znacie?

Rozalja (*z żywością*). Kiedy ty wracasz do Warszawy?

Karolina. Pojedziesz ze mną?

Rozalja. Pojadę.

Karolina. Wyborniel... Ach, jakże się zabawimy, rozkosznie zabawimy. Zobaczysz, Rozalko, że wszystkie zmysły w grę tu wejdą, zobaczysz wtedy, jak serce bije, krew pali się, jakie różowe sny nas nawiedzają będą... Lecz, moja droga! tydzień, dwa, to krótkie tylko drgnienie błyskawicy—i—wracać ci tu już będzie za ciężko.

Rozalja. Czuję to.

Karolina. Namów męża, by sprzedał Szwarebergowi tę pustelnię.

Rozalja. Linko!

Karolina. Kupicie sobie intratną wioskę w Królestwie, ty odżyjesz, raczej żyć zaczniesz, a wierz mi, że pośpiech nie zaszkodzi, bo ani spostrzeżesz, jak kručze włosy twoje srebrnemi przepłaczają się niemi, czarne oczy tracą blask brylantowy. (*Rozalja patrzy w zwierciadło*). Przez moje usta mówi tylko przyjaźń i litość nad marnującą się młodością.

(*Wchodzi: Hans i Wojciech*).

Rozalja (*w zadumie*). Mam lat... dwadzieścia.. pięć—

Zygmunt (*do Hansa*). Cóż pana, panie Janie, sprowadza do mnie?

Hans. Verzeien Sie mich Herr Sigmund, aber ja nikty nie była Jan, Hans tylko.

Wojciech (*n. s.*). Ty—szóldro niemiecka!

Zygmunt. Więc co pana, panie Hans, sprowadza do mnie?

Hans. Impertynenz parobków pańskich, Herr Sigmund.

Zygmunt. Naprzykład?

Hans. Jeżeli oni Polaki, to niech sobie na zdechnięcie Polaki będą, (*Wojciech robi ruch, jakby go chciał trzepnąć*) aber ja Nemeec i moi kinder jezd Nemeec. Nun jetzt transfiguration nieprzyjemna się zrobiła i jak oni zaczęli gadać moim dzieckim, co Szwab to Hund—to przyszło na taki rezultat, co moi kinder teraz krakowiaki śpiewają. (*Wojciech parska śmiechem, Hans patrzy na niego z boku, d. s.*). Dass ich ihm nicht die Zähne austreten soll!

Zygmunt. Cóż ja na to poradzę?

Hans. A co pan poradziła, co jetzt Kopfdorf zrobił się inny niż był?

Zygmunt. Miej pan o to pretensję do mojej żony.

Hans (*składając ręce do Rozalji*). Madame! zrobicie zlitowanie nad Hansem Koppem, niech moi dzieki krakowiaki nie wiciągają, bo to komedie prawdziwy, jak niemiecki kind śpiewa: *abi to mi jasy tasy chlopsy krakowiasy!* (*Wojciech parska śmiechem—Hans zwracając się ku niemu*). Verteufelter kerll...

Rozalja. Ja ich nie uczę, panie Hans!...

Hans. Ale parobki uczą (*j. w.*) Madame! seien sie so gut i powiedzcie parobkom, coby oni taki wszeteczność nie robili.

Rozalja. Mnie się zdaje, panie Hans, że i wy niezupelnie Niemcem jesteście?

Hans. Ja? ja?

Rozalja. Uderzcie się w pierś!...

Hans (*bije się z sił wszystkich*). O! o! — Nemece, i moja fiziognomie nemecka jest. Ja na prins Bis-mark przysięgłość zrobie co Nemece bil, je i bede.

Rozalja. Postaram się was zadowolnić.

Hans (*składając ręce*). Madame!... ja bardzo kontenta zostane (*klania się*).

Wojciech (*za odchodzącym*). Schurkel!

Hans. Pack!...

(*Wychodzą*).

Leon (*do Rozalji*). I pani często musisz godzić zwaśnionych?

Rozalja. Udaje mi się nawet trwały zaprowadzić spokój, ale to wymaga dużo trudu i pracy.

Karolina (*zbliżając się do Zygmunta, szeptem*). Różia lepszą jest żoną, niżbym ja nią była—prawda?

Zygmunt. Nie wypada mi pani zaprzeczyć.

Karolina. Różia wbrew woli pańskiej nie postąpiłaby nigdy—prawda?

Zygmunt. Upřednią muszę powtórzyć odpowiedź.

Karolina. Podbiła ją wzniosłość idei pańskiej, i przენiewierstwo względem niej jest dziś tak od niej daleko, jak nasze dawne, gorące uczucia?

Zygmunt. Do czego pani zmierza?

Karolina. Na mnie tak byś się pan oszukał... (*idzie do Rozalji*).

Zygmunt (*d. s.*). Nie może mi darować, że się na trocinach poznał. (*Zbliża się do gości*). Kochany Leonie, nim Wojciech nam oznajmi, że waza paruje na stole, może zechcesz zwiedzić moje gospodarstwo?

Leon. Z ochotą—a panie?

Karolina. Zostaną.

Leon. Do widzenia zatem.

Zygmunt. Do widzenia!... Wrócimy niebawem (*Podają ręce paniom—Zygmunt do żony*) Ty smutna—Róziu!...

Rozalja. Ja? nie! (*Zygmunt patrzy na nią—Rozalja po chwili—pół szeptem*). Czy ty pamiętasz, coś mi powiedział w dzień ślubu?

Zygmunt. Że spełnię wszystkie twoje zachęcenia—

Rozalja (*radośnie*). Tak... tak!... Pocałuj mnie, Zygmuncie!

(*Zygmunt całuje żonę i wraz z Leonem wychodzą*).

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z bieżącej chwili.

— W Warszawie pojawiły się na ulicach powozy—samochody, poruszane siłą elektryczną. Powozy te toczą się szybko, a siedzący na przodzie kierownik zręcznie nimi steruje, wymijając przechodniów i inne wehikuly. W tych czasach odbędą się próby samachodów na przestrzeni Warszawa—Łódź przez Sochaczew. Jeżeli próby wypadną pomyślnie, ma być opracowany projekt zaprowadzenia tych samochodów tam, gdzie obecnie kursują karretki pocztowe.

— W Salzburgu w Austrii odbył się w tych dniach wiec katolików, na którym zgromadziło się około tysiąca osób. Miasto uroczyscie zostało przybrane. Posiedzenia wiecu odbywały się w auli uniwersyteckiej; dyskusye przeniknięte były głębokimi uczuciami religijnymi wszystkich uczestników.

— W Konstantynopolu miały miejsce zaburzenia ormiańskie i wykroczenia muzułmańskie. Policyan-ci i żołnierze tureccy napędzali pojedyncze gromadki Ormian pod kije i noże mahometan. Wielu Ormian wrzuceno z mostów do wody, a dobytek ich rabowano. Ogólna liczba zamordowanych Ormian wynosi kilka tysięcy.

— Co widać u bieguna północnego? Pytanie to, po szczęśliwym powrocie Nansena, nie ma w sobie już nic nadzwyczajnego. Głośny uczony wiedeński Kerner odpowiedział na nie reporterowi pewnego dziennika berlińskiego, co następuje: „Nansen, który powrócił do swej młodej żony, nie dokonał odkrycia nowych ziem, ani nie przywozi z sobą nieznanych skarbów natury. Politycznie, ani ekonomicznie Norwegia nie wzbogaciła się organizując kosztowną podróż „Frama.“ Jedynie nauka, idealna nauka odnosi korzyść z tych nadludzkich wysiłków członków ostatniej wyprawy podbiegunowej. Tych, którzy mają w pamięci romantyczne obrazy bieguna północnego, kreślone przez Verne'go, zdanie powyższe napełni rozczarowaniem; ale ludzie, poważnie traktujący rzeczy, dojdą do przekonania, iż flaga Norwegii, zatknięta przez Nansena na najbardziej wysuniętym na północ punkcie naszej półkuli, na którym poraz pierwszy znalazła się istota

ludzka, oznajmia o wielkiem zwycięztwie nauki. A flaga ta powiewa obecnie na pustkowi, pokrytem lodami, na którym panuje wieczna zima. Przez 179 dni na rok słońce nie świeci nad biegunem północnym. Bez światła nie ma życia, bez ciepła, nie ma krwi. Brak słońca niemal przez połowę roku czyni niemożliwym przypuszczenie, iż w okolicach bieguna północnego żyją ludzie lub zwierzęta. Można napewno twierdzić, iż Nansen wraz z towarzyszami doszedłszy do bieguna północnego, nie uderzyłby głową o oś ziemską. W pobliżu bieguna nie można widzieć nic innego, tylko to wszystko, co widziano dotychczas na najbardziej na północ wysuniętych punktach. Nic innego, tylko lód, morze i skały mogą się znaleźć w krajobrazie podbiegunowym. Pasma wody muszą być bardzo wąskie, ścieśnione lodowymi górami... Tak mówi uczony wiedeński—ale, czy tak jest w rzeczywistości? może nam dopiero odpowie Andrée, jeżeli z wyprawy biegunowej powróci.

— Powieść Emila Zoli, p. t. „Rzym“ na mocy rozporządzenia papieskiego została pomieszczona na indeksie ksiąg zakazanych.

— W Seminaryum archidiecezjalnem w Warszawie rozpoczęły się w tym tygodniu wykłady, które poprzedziły trzy dniowe rekolekcyje alumnów.

— Ukazała się w druku broszurka p. Apolinarego Kowalskiego, p. t. „Wieś w Warszawie.“ Rzecz ta, napisana z werwą, przemawia za wystawą higieniczną, jako za miejscem, gdzie najświeższe znajduje się w Warszawie powietrze. Autor broszurki z zapałem przekonywa czytelnika o pożytku, jaki płynie dla mieszkańców z tej miejscowości, którą nazywa „wsią w Warszawie.“ P. Kowalski ma na celu dowieść, iż plac wystawy powiuno się ochronić przed projektowanem wzniesieniem tu nowego Szpitala Dzieciątka Jezus.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: ark. 21-y powieści p. t. **Fata Morgana**, przez E. Wernera. Przekład z niemieckiego.

OD WYDAWCY.

„Bluszcz“ w kwartale przyszłym wychodzić będzie pod dotychczasowymi warunkami. Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

TREŚĆ: Harriet Beecher-Stowe (Wspomnienie pośmiertne), przez Ad. D. — **Promyk szczęścia.** Urywek z życia, skreślił Jan Kenaj (dalszy ciąg).—**Nowiny paryzkie**, przez C. H.—**Siostry Napoleona**, Anatola Krzyżanowskiego (dalszy ciąg).—Kazimierz Gliński. **Plon niesiem.** Komedya w 2 aktach (dalszy ciąg).—**Z bieżącej chwili.**

Dodatek obejmuje: **Fata Morgana**, powieść, przez E. Wernera. Przekład z niemieckiego, ark. 21-y.—Przegląd mód. 17 wzorów i robót z opisem Sekretu gospodarskie.—Dyspozycya stołu.